Rok 1901. Lwów, 28. Lipca Nr. 29.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOLECZNY, EKONOMICZNY i LITERACKI

ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“, ul. Cicha 5.

Rok 1901. Lwów, 28. lipca. Nr. 29.

TYGODNIK NARODOWY.

Redaktor: Klemens Kołakowski. Redakcya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11, Administracya przy ul. Cichej l. 5.

Treść Nr. 29:

„Cofanie się“ niemczyzny w Poznańskiem.

Ktoby chciał wierzyć na słowo pismom uprawiającym zawodowo „hecę“ antypolską, mógłby mniemać, że dla niemieckości w dzielnicach polskich wybije niezadługo ostatnia godzina. Tyle tam lamentów na szerzenie się żywiołu polskiego, jego ogromną ruchliwość, świetną organizacyę, pewność siebie, umiejętność wyzyskania każdego szczegółu w interesie politycznym i podobne niegodziwości, tyle skarg gorzkich na obojętność, gnuśność i niedbałość Niemców, tyle nawoływań, aby rząd przecież zmiłował się nad uciśnioną niemczyzną i nie pozwolił na... spolszczenie dzielnic polskich. Nie brak także materyału dowodowego, zestawień statystycznych, które wykazują, jak żywioł niemiecki cofa się liczebnie, ulega konkurencyi polskiej, słowem jest zagrożony w wysokim stopniu i wyjdzie na walce narodowościowej bardzo niekorzystnie — jeżeli w akcyi germanizacyjnej nie nastąpi zwrot stanowczy i rząd nie zajmie się energicznie ratowaniem zagrożonego posterunku.

Te wycieczki w dziedzinie statystyki są niezawodnie najwięcej zajmujące ze wszystkiego, co w celach agitacyjnych produkują obrońcy „uciśnionej niemczyzny“. Rozumie się, że przykłady są zawsze tak dobrane, aby dowodziły tego, czego chcą dowieść hakatyści, że pisma przemilczają starannie fakty, które mogłyby osłabić wiarę w ich twierdzenia, że w przytaczanych danych statystycznych nie brak tendencyjnych nieścisłości, — ale mimo to, są to, wobec braku dokładnej statystyki polskiej, materyały cenne, które przy należytej ostrożności ułatwiają oryentowanie się w stosunkach i wynikach walki, narzuconej Polakom.

Szczególniej boli Niemców znany fakt powolnego polszczenia się miast, które dawniej, jeszcze za czasów ks. Bismarck'a, były głównemi warowniami niemieckości. W ostatnim numerze *Osmark'u*, urzędowego organu bractwa hakatystowskiego, znajdujemy kilka danych, które dotyczą tego, bardzo niepożądanego dla Niemców rozwoju stosunków. „W Ostrowie — pisze *Ostmark* — pomimo, że istnieją tam sądy okręgowy i ziemiański, gimnazyum, liczne urzędy i silna załoga wojskowa, przeszły w ostatnich 25 latach 93 nieruchomości w ręce polskie, a przecież Ostrowo było niegdyś miastem czysto niemieckiem“. Ostatnie to twierdzenie jest tendencyjnym fałszem. Ostrowo należało zawsze do miast, w których przeważał żywioł polski; ale prawdą jest, iż żywioł ten w latach ostatnich wzmógł się ogromnie i Niemcy tracą tam coraz więcej grunt pod nogami.

W maleńkiej Górce Duchownej — pisze dalej *Ostmark* — Polacy wykupili od roku 1870 15 nieruchomości i 3 sklepy, a ani jedna posiadłość polska nie przeszła w tym samym czasie w ręce niemieckie, To samo widzimy we wszystkich innych miastach prowincyi. Na miejsce wypartego przez bojkot polski kupca niemieckiego wstępuje zawsze Polak. Sklepy nowe otwierają tylko (?) Polacy. O cofaniu się żywiołu niemieckiego świadczy także statystyka wyznań. Protestanci są, z wyjątkiem 20.000 Polaków w południowo wschodniej części prowincyi, Niemcami. Liczba zaś protestantów zmniejsza się w licznych miejscowościach. W Prittisch n. p. rodziło się dawniej 80 – 90 dzieci protestanckich, a w latach ostatnich tylko 45—55; do pierwszej komunii przystępowało 72, obecnie tylko 48. To samo spostrzegamy na wsi; w Racocie (pod Kościanem), gdzie przed 8 jeszcze laty 2 nauczycieli uczyło 89 – 90 dzieci niemieckich, obecnie uczęszcza do szkoły protestanckiej tylko 50 uczniów. Za to nowo zbudowana szkoła katolicka z dwoma nauczycielami ma 220 uczniów polskich. Nawiasem, ten stwierdzony przez samych Niemców fakt, rzuca bardzo charakterystyczne światło na stosunki szkolne: dla dzieci niemieckich rząd utrzymywał 2 nauczycieli, dla 220 dzieci polskich powinno być ich pięciu — tymczasem jest ich tylko 2. To się nazywa „równouprawnieniem“. W ogóle w Poznańskiem szkoły katolickie (polskie) są przepełnione, w protestanckich (niemieckich) jest przestronno. Przeciętnie przypada jeden nauczyciel na 40 dzieci niemieckich, a na 150 polskich. Zresztą dane statystyczne, podane przez *Ostmark*, są prawdziwe. Piszący te słowa, zna dokładnie tę miejscowość i okolicę i może dodać, że tamtejsza ludność przechodzi tłumnie na katolicyzm. Są to sprowadzeni przed wielu laty Niemcy, którzy pod wpływem otoczenia polskiego polszczą się powoli. Ważną bardzo rolę odgrywają w tym procesie asymilacyjnym sprawy sercowe.

To samo dzieje się w licznych innych miejscowościach, ale nie wszędzie; zapobiega temu agitacya niemiecka. W niektórych zaś okolicach Niemcy zdobywają powoli przewagę skutkiem działalności komisyi kolonizacyjnej. Różnice te wyrównywają się prawie zupełnie i wzajemny stosunek liczebny ludności polskiej i niemieckiej pozostał mniej więcej ten sam, jaki był przed 20 laty. Przyznać trzeba, że jest to nie wielki wynik kilkunastoletniej gorączkowej pracy germanizacyjnej, ale skargi na cofanie się żywiołu niemieckiego w Księstwie, niestety, nie są uzasadnione.

Omega.

Pochwała pory ogórkowej.

Dawno już zamierzałem napisać pochwałę pory ogórkowej; jak wszystkie rzeczy oczernione i osławione — pora ta budziła zawsze w sercu mojem współczucie. Już Wacław Potocki pomawiał kanikułę o rozmaite zbrodnie, a jednak wbrew wszystkiemu przypuszczałem w niej zawsze jakieś utajone cnoty, które widziałem niejasno aż do dnia wczorajszego. Wczoraj dopiero zrozumiałem, dlaczego Indye Wschodnie, ziemia kanikuły nieustającej, jest ojczyzną filozofii oderwanej, poezyi nadludzkiej i zadumy głębokiej. Oto jak muza moją pojęła tę sprawę, a stało się to przez kobietę, która jest źródłem wszelkiego dobra na ziemi. Potrzebując mydła,

szczoteczki do zębów itp. przyborów, zaszedłem do odpowiedniego zakładu handlowego i zwróciłem się do przystojnej panny siedzącej za kontuarem z prośbą o potrzebne mi rzeczy.

Przystojna panna — prawdziwy obrazek zdjęty z wystawy secesyjnej — nie zwróciła na mnie żadnej uwagi, co oczywiście zabolało mnie: — „Widać, starzeję się, panny w magazynach traktują mnie, jak wujaszka i nie widzą wcale, gdy wchodzę. Gdzie te dawne uśmiechy, spojrzenia wiele mówiące, poprawianie włosów na mój widok! maleńki dreszcz, rumieniec, pośpiech! minęły dni moich tryumfów!“

— Prosiłbym o mydło glicerynowe, o szczoteczkę do zębów, o wodę kolońską...

— A!! — zawołała panna, podnosząc głowę z nad książki, w której była zagłębiona — i podniosła na mnie swoje cudne, cudne, cudne, cudne oczy — jak mówi Tetmajer.

— Cóż pani tak przeraziła się moim widokiem?...

— O, nie! (tu ja uśmiechnąłem się z zadowoleniem), ale tak mało jest kundmanów, że po prostu jestem zdziwiona...

— I, jak widzę, zaczytana.

— A no, cóż mam robić? Pora ogórkowa... Dla zabicia czasu czytam...

— Nie może być... A w innym czasie pani nie czytuje?

— Owszem, ale bardzo mało, bo nie mam czasu, przytem czytuję same lekkie romanse ..

— A teraz?...

— Teraz szukam tylko śliczności... Czytałam Shakespeare'a dramaty — ach! Romeo i Julia, potem „Rubinową cysternę“...

— Boisgobey'a.

— Nie pamiętam, śliczna książka — cztery zbrodnie; ubawiłam się nad nią okropnie — cały czas płakałam!

— I co jeszcze?

— A, jeszcze czytałam „Quo vadis?“ i wiele innych rzeczy — „Lampę Aladyna“, a teraz to już tylko wiersze czytam.

Zainteresowało mnie to wszystko. Pewien galimatyas w wyborze książek nie raził mnie nawet, gdyż w gruncie rzeczy wszędzie się on w różnej barwie powtarza.

— Cóż to pani czyta za wiersze? jeśli wolno zapytać.

— To różni pisarze razem zebrani. Jest tu Orot, Gomulicki, Kasprowicz, Tetmajer, Konopnicka, Lange, Kośmiński, — wie pan, ten Paul de Coś, co już umał, ja go znałam. — Czy ci wszyscy pisarze już nie żyją?

— Niech Bóg broni! — większość żyje! (Czytelnik się domyśla, że była to jakaś antologia z tych, co się rodzą, jak grzyby po deszczu.) I podoba się pani to wszystko?...

— Ach, śliczności! — zawołała panna. — Całe życie chciałabym tak siedzieć i czytać. Żebym to ja umiała pisać! Taki autor, to jak zacznie wiersze robić, telegrafem pisze, idzie mu, jak woda — i wszystko z sensem. Jak to być może!

— A nic pani nie martwi, że tak mało ludzi kupuje mydło?

— A! wszystko mi jedno! Przynajmniej mam spokój! Jak się zaczytam, to zapominam o wszystkiem — i tak mi jest dobrze...

Miałem zamiar z przystojną mydlarką zacząć rozmowę o jej pięknych oczach — jak to zwykle się robi — ale nowość sytuacyi tak mnie zajęła, że i ja o doczesnych rzeczach zapomniałem, choć później przyszła mi reflecya (mówiąc, jak hr. Tarnowski), czy istotnie piękne oczy godzi się zaliczać do rzeczy doczesnych, czy też są to rzeczy wiekuiste. Zapewne wiekuiste — i dlatego nie należy nigdy pomijać okazyi wysławiania pięknych oczu.

Tymczasem inna sprawa mnie zajęła — i nagle *illuminatus*! powiedziałem pięknej mydlarce:

— A więc złóżmy cześć porze ogórkowej, która daje pani odpoczynek, czas wolny, pozwala zajmować się literaturą i oddawać się rozmyślaniom...

Panna była nieco zdziwiona.

— Jakto?

— Pora ogórkowa oderwała panią od błahego trudu wydawania różnym głupcom mydła, wody kolońskiej itd., od pobierania nędznej mamony, od rachunków, dawania reszty, od całej tej nikczemnej pracy żywota codziennego; dała pani samotność, źródło mądrości; dała pani możność wykąpania swej duszy w poezyi i literaturze!

— Pan pewno też wiersze pisze, ślicznie pan mówi.

— Niestety! jestem tylko urzędnikiem w biurze ubezpieczeń; ale nie powiedziałem tego pannie, owszem z uśmiechem — kiwnąwszy głową — potwierdziłem jej przypuszczenia. Zresztą wyznać muszę, że w sekrecie coś sobie pisuję i gdyby nie zazdrość ludzka, tobym to już dawno w gazetach pomieścił. Ale redaktor mi powiedział:

— Panie, to nie literatura!

Cóż robić? Dopiero niedawno jeden pan ze Lwowa miał odczyt w Warszawie i powiedział, że wszystko, co ludzie piszą, nic nie warte, bo to jest literatura i tylko to, co nie jest literaturą, jest coś warte. Czekaj redaktorze, powiedziałem sobie: pójdę ja do ciebie i pokażę ci, że się na niczem nie rozumiesz. Moje czasy teraz przyszły, oto moje dzieło, bo to nie literatura. Tak panie, teraz w literaturze tylko to ma sens, co nie jest literaturą!

Ale wróćmy do naszej pięknej mydlarki. Okazuje się, że cudne, cudne, cudne oczy — (jak mówi Tetmajer), jakkolwiek mają swoje niewątpliwe wdzięki, to jednak ducha ludzkiego prowadzą na drogę pychy i kłamstwa i przeszkadzają czystemu rozważaniu pojęć oderwanych. To też, aby nie pogrążyć się w grzechu całkowicie, nie powiedziałem głośno o swojem rzekomo autorstwie, tylko poprzestałem na kiwnięciu głową i mówiłem dalej:

— Pora ogórkowa oderwała panią od ziemi i uniosła do krainy nieskończoności. Teraz dopiero oddajesz się rozmyślaniom nad tem, co nigdy nie mija, nad harmonią, nad duszą nieśmiertelną, nad pięknem i poezyą.

— Ach, mogłabym tak godzinami słuchać, jak pan opowiada.

Widać efekt wywołałem: dusza moja rozpływała się z radości, żem przekonał ta secesyjną figurkę o wyższości rzeczy wiecznych nad aktualnościami. Istotnie w zwykłym czasie rozmawia się tylko o tem, kto się z kim żeni, w kim się kocha, która żona zdradziła męża, który kasyer uciekł, który koń wygrał na wyścigach, jakie jest korso i t. p.

Dopiero, kiedy nadejdą straszne upały, kiedy wszyscy z miasta uciekają do *Baiae*, człowiek czuje się jak Hindus południowy i w pustej kawiarni jak Budda pod figą rozmyśla o wieczności. Sprawy nikłe, tymczasowe, jednodzienne, same od ciebie odeszły: zostałeś sam ze sobą — i myśl niepowstrzymana lata — jak gołąb dziki, — z przedmiotu na przedmiot i rozpływa się w mgłach i tumanach marzenia. W mózgu twoim rodzą się Wedy, Upaniszały, Bhagavatgity. A rodzicem tych snów jest Kanikuła — słońce.

Właśnie też przez witryny sklepu zabłysło słońce i rozzłociło szyby w szafach i flakony perfum, bijących dokoła przenikliwemi zapachami i rozpłomieniło piękne oczy młodej dziewicy. Wszystko w barwy tęczy się przystroiło. Ale już musiałem wracać do biura i wziąwszy przygotowaną paczkę, zapłaciłem należność — i pożegnałem się, obiecując jeszcze raz pogawędzić z piękną, rozczytaną w wierszach „Młodej Polski“ mydlarką.

Porachowała mi o 20 hal. więcej, ale ja zrozumiałem, dlaczegom kochał porę ogórkową i dlaczego chciałem oddawna ułożyć odę na jej pochwałę.

Dr Karol Hertz.

Pogadanka naukowa.

Elektrotechnika w wieku XX.

Światło przyszłości.

Wiek XIX nazwano wiekiem pary, wiek zaś XX najniezawodniej otrzyma nazwę wieku elektryczności. Przyszłość przemysłu światowego w zupełności zależną jest od postępu elektryczności. Kraje, posiadające naturalne środki wytwarzania elektryczności staną na czele przemysłu przyszłości. Według prof. Slaby'ego, postęp elektrotechniki odbywać się będzie w rozmaitych kierunkach, a mianowicie: 1) w kierunku udoskonalania telegrafii elektrycznej; 2) w kierunku walki konkurencyjnej pomiędzy światłem elektrycznem a światłem gazowem; 3) w kierunku otrzymywania elektryczności bezpośrednio z węgla; 4) w kierunku dostarczania drobnemu przemysłowi taniej siły i taniego światła; 5) w kierunku spożytkowania przypływu i odpływu morza, jakoteż ruchów powietrza, wody i ziemi dla otrzymywania elektryczności; nakoniec 7) w kierunku spożytkowania elektryczności ku lokomocyi o bardzo wielkiej prędkości. W dzisiejszej kronice zajmiemy się tak nazwanem światłem chłodnem. Pod tą nazwą rozumiemy światło wytworzone przez fale elektryczne w rurach napełnionych powietrzem, lub gazem rozrzedzonym — nad praktycznem zastosowaniem, którego dla celów taniego oświetlania od wielu już lat pracuje Tesla. Wprawdzie prof. Slaby nie podziela nadziei znakomitego elektrotechnika amerykańskiego, ostatnie jednak wiadomości wiarogodne o doświadczeniach Tesly, obalają mniemanie Slaby'ego.

Już przed dziesiątkiem lat Tesla wykazał, że ideałem oświetlania jest takie, przy którem odpowiedni przyrząd (lampa), umieszczony w dowolnem miejscu, roztacza wokoło siebie światło, nie potrzebu-

jąc być połączonem z innym przyrządem za pomocą drutów. Zwrócił on uwagę, że używane dotychczas lampy żarowe i łukowe pociągają za sobą marnotrawstwo siły elektrycznej w niezmiernie wysokim stopniu. Dowiódł nakoniec, że wytwarzanie światła za pośrednictwem żarzenia się ciał stałych lub płynnych, może być zupełnie wykluczonem i że prawdziwego postępu w tym kierunku można się tylko spodziewać, korzystając ze światła rozżarzonych gazów, lub też z ich fosforencyi. Do tego zaś potrzebne są prądy elektryczne, przemienne o bardzo wielkiej liczbie przemian i o wysokiem natężeniu. Poglądy swoje teoretyczne Tesla urzeczywistnił i nadzwyczajne wrażenie wywołały cudowne niemal doświadczenia, wykonane w jednej z sal laboratoryjnych paryskich. Pewna liczba rur długich, umieszczonych na suficie, pod wpływem przyrządu, wywołującego fale elektryczne, nagle zajaśniały blaskiem nadzwyczajnym, rozlewając po sali potoki ś w i a t ł a c h ł o d n e g o. Były to jednak doświadczenia tylko teoretyczne, które dla praktycznych celów były zbyt drogie. Zdaje się jednak, że obecnie udało się amerykańskiemu badaczowi odkrycie swoje praktycznie zastosować. Cała trudność polegała na tem, aby zwykłe prądy elektryczne, bez wielkich kosztów przekształcić w bardzo szybkie drgania elektryczne, mogące wywoływać świecenie się lamp. Nowe l a m p y T e s l y są to rury, mające długość od 20 do 25 stóp angielskich, zgięte prostokątnie i skręcone w 12 do 14 zwojów. Cała powierzchnia świecąca wynosi od 300 do 400 cali kwadratowych. Oba końce skręconych spiralnie rur opatrzone są pokrywami metalicznemi i hakami, za pomocą których mogą być przymocowywane w dowolnem miejscu. Wytwarzanie światła w tych rurach odbywa się w sposób następujący: Prąd elektryczny, zwyczajny wprowadza się do oscylatora o bardzo częstej frekwencyi. Wahania tym sposobem otrzymane, za pośrednictwem końców metalicznych dostają się do wnętrza lampy, wywołując w niej drgania elektryczne, te zaś wprawiają w niezmiernie szybki ruch cząsteczki i atomy gazu rozrzedzonego, dając tym sposobem początek światłu. Przy tem jednak gaz się nie pali we właściwem znaczeniu tego słowa. Tym więc sposobem otrzymujemy tylko światło z wyłączeniem ciepła niepotrzebnego i na tem właśnie polega ekonomia tego nowego sposobu oświetlania. Jedna i ta sama lampa trwać może lata całe, gdyż w niej nic się nie spala. Pomiary fotometryczne wykazały, że natężenie światła takiej lampy wynosi 50 świec normalnych, może ono jednak być dowolnie powiększanem i zmniejszanem. Światło chłodne jest nadzwyczaj łagodne i niezmiernie dobroczynne dla wzroku. Tesla twierdzi nawet, że jego światło jest jednakowem ze światłem słonecznem i stąd wyprowadza wniosek, że rozpowszechnianie tych nowych lamp w wysokim stopniu przyczyni się do ulepszenia warunków hygienicznych mieszkań i sal zebrań, gdyż podobnie jak i światło słoneczne, zabija bakterye. Co więcej Tesla się przekonał, że światło chłodne oddziaływa dobroczynnie na nerwy i że lekko ozonuje powietrze. Wynalazca amerykański twierdzi, że lampy jego dostarczają takiej ilości ozonu, że ona w zupełności wystarcza do odświeżania powietrza w szpitalach i w mieszkaniach chorych.

Ponieważ, według obliczeń Tesly, fabrykacya lamp i instalacya oscylatorów nie są zbyt kosztowne, zatem wprowadzeniu tego nowego sposobu oświetlania nic nie stoi obecnie na przeszkodzie — chyba wrodzone lenistwo ogółu i interesa różnych towarzystw gazowych i elektrycznych.

Ada Negri.

NIEŚMIERTELNY.

Żyć! żyć! — O, nie chcę umierać — chcę lat dwa-
[dzieścia mieć wiecznie,
Chcę marzyć, szaleć, chcę kochać, bawić i śmiać się
[serdecznie,
Latać, jak motyl wśród róż,
Chcę w kwiaty, blaski, promienie ubrać tę młodość
[wspaniałą,
Bujną, jak trawa stepowa, jak puchy lekką i białą
Przeźroczą, jak tonie mórz.

Precz, precz odemnie, o Śmierci! Kocham płomienie
[i wody
I czarodziejskie to słońce, co ziemi pieści ogrody
I wieczną żyzność jej śle,
Kocham tę ziemię prastarą, istną kuźnicę tytanów,
Gdzie łomot ciągły, gdzie ogień wybucha z serc
[i wulkanów,
Gdzie myśl, ruch, praca wre.

Dla purpurowych ust moich, co czyste powietrze piją,
Dla krwi, co w żyłach mych krąży, dla pulsów, co
[w skroniach biją,
Dla oczu, co sypią skry;
Dla śmiechu gamy szalonej; co nutą dźwięczy wesołą,
I dla tej siły wewnętrznej, co kładzie na moje czoło
Przyszłości potężne sny;

I dla wszystkiego, co żyje pełne miłości i wiary,
Co w dniach ciemnoty wysoko światłości wznosząc
[sztandary,
Do ideału się rwie,
Dla tych, co tutaj na ziemi jak ogień pożaru płoną
I zwyciężeni powstają z nową zapału koroną!
Ja nieśmiertelnym być chcę!..

Do sił, do zdrowia, do czynu, do marzeń, co w niebo
[biegą,
I do umysłów spragnionych strumienia prawdy
[świętego,
Do złotych miłości dni;
Do matek karmiących dzieci, do ojców zdjętych
[trudami,
Do pysznych łanów pszenicznych, do łąk usianych
[kwiatami,
Do miast, do lasów, do wsi;
Do lotu, ruchu, do dźwięku, do walki duchów wspa-
[niałej,
Do ofiar cichych, nieznanych, błędów — co dobro
[nieść chciały,
Do serc, do zmysłów, do dusz:
Do wszystkich wznoszę rozgłośnie hymn wielki,
[hymn nieskończony,
Hymn jako morze szeroki, wieczny, jak niebios
[opony.
Płomienny, jak łuny zórz!...

Cierpieć? — Cierpienie i życie, to wir, co wiecznie
[się zmienia:
Rozkosz jest straszna a wzniosła wpaść do otchłani
[istnienia,
Na ludzkiej nędzy iść dno:
Słuchać, jak z głębi przepaści rozpacz zawodzi tłu-
[miona,
Goryczą żółci się poić, pod krzyżem zginać ramiona,
Nigdy nie żaląc się łzą:
Nagle, w powodzi krzywd tonąc, czepić się choćby
[źdźbła trawy,
W ciemności dostrzedz i schwycić nadziei promyk
[złotawy,
Co jako zbawienie spadł,
Poczuć, że serce znów bije, że znów pragnienia
[ożyły,
Z nową się wiarą odrodzić do walk, do zdrowia,
[do siły,
Królem wyjść z grobu na świat!...

Dla tych, co słabi i gnuśni, Tajget otworem wciąż
[stoi,
I czeka zimna toń Lety tego, co życia się boi,
Życia zawodów i prób...
Biada tchórzowi, co zawsze z drogi się wrócić jest
[skory,
Biada tym, co się błąkają niby bezduszne upiory
I z ziemi czynić chcą grób.

Wzlatuję. — Skrzydły silnemi ciągnę za sobą mi-
[liony..
Tłum dobrych, mężnych i dumnych, przyszłości snom
[poświęcony,
Błogosławieństwo mi śle,
Nieśmiertelności świat błyska, a dusza moja szczę-
[śliwa
Hejnał zwycięzki rozgłośnie na wszystkich strunach
[wygrywa
Temu, co wiecznie żyć chce!

Tłóm. *Anna Bronisławska.*

F. Urbanowicz.

Biologia.

Wiemy obecnie, że w skład organizmów — zwierząt i roślin — wchodzą tylko te pierwiastki chemiczne, które znajdujemy i minerałach: węgiel, azot, tlen, wodór, siarka i niektóre inne; wprawdzie węgiel jest pierwiastkiem niezbędnym dla każdej istoty żyjącej i wskutek tego może być poniekąd uważany za charakteryzujący te istoty pod względem chemicznym, ale tenże węgiel wchodzi też w skład niektórych minerałów, nie jest wyłączną własnością zwierząt, ani roślin; pierwiastka, który znajdowały się tylko w organizmach, nie zna chemia współczesna. Wiemy też, że wszystkie zjawiska w organach odbywają się na podstawie ogólnych praw fizyczno-chemicznych; jak niema specyalnego pierwiastka życiowego, tak niema też specyalnej siły życiowej, na podstawie której łączyłyby się w organizmach pierwiastki chemiczne, lub też ciała złożone rozkładałyby się na prostsze.

Biologia współczesna zna olbrzymią ilość gatunków roślinnych i zwierzęcych, najrozmaitszej budowy: od najprostszej aż do najbardziej skomplikowanej. Wobec wrażliwości niektórych roślin, nie jesteśmy w stanie wskazać cech, bezwzględnie różniących roślinę od zwierzęcia. Niepodobna też dokładnie określić, czem jest gatunek; pomimo tego, tak zwierzęce, jak roślinne gatunki, łączymy na zasadzie większego lub mniejszego podobieństwa w grupy coraz większe: rodzaje, rodziny, rzędy, klasy, typy. Taka systematyka nie jest tylko porządkowaniem materyału naukowego, przeciwnie, ma ona doniosłejsze znaczenie. Współczesny bowiem biolog uważa gatunki za zmienne i w normalnych warunkach życia podlegające stopniowemu doskonaleniu się (tylko niektóre warunki,

jak pasorzytnictwo, powodują uwstecznienie zwierzęcia lub rośliny, t. j. czynią je prostszemi pod względem budowy). Gatunki wyższe, t. j. mające bardziej złożoną budowę, pochodzą od niższych, t. j. mające bardziej złożoną budowę prostszą; wszystkie znane obecnie gatunki prawdopodobnie są z sobą bliżej lub dalej spokrewnione. Nauka dąży do stworzenia systemu naturalnego, t. j. takiego, który byłby zarazem rodowodem zwierząt i roślin.

Taki pogląd na pochodzenie gatunków, jakkolwiek powszechnie przyjęty, nie jest jednak uzasadniony doświadczalnie. Opiera się on głównie na teoryi doboru naturalnego (Darwinizm), którą wyłożę tu w następnych kilku wierszach. Organizmy mnożą się tak szybko, że gdyby osobniki jakiegoś gatunku wszystkie dożywały starości, w ciągu krótkiego względnie czasu na przestrzeni, zamieszkiwanej przez ów gatunek, zabrakłoby środków do życia. Istnieje więc walka o byt pomiędzy istotami żyjącemi, tem zawziętsza, im podobniejszym jest pokarm i inne warunki istnienia istot walczących; najzawziętszą zatem, jakkolwiek bezkrwawą, jest walka o byt pomiędzy osobnikami jednego gatunku. W walce tej najdłużej ostają się te osobniki, które z pośród mnóstwa innych, podobnych do nich, wyróżniają się jakiemibądź nowemi cechami, czyniącemi je zdolniejszymi od innych do zdobywania pokarmu i innych środków życia. A cechy takie wśród osobników jednego gatunku trafiają się często, gdyż potomstwo, odziedziczając po rodzicach organizacyę zwykle w zupełności, miewa i własne organy, występujące zapewne wskutek odmiennych warunków życia. Te osobniki, które z walki o byt wychodzą zwycięsko, pozostawiają po sobie potomstwo i w skutek dziedziczności przekazują mu owe organy szczególne, którym zawdzięczają zwycięstwo, i to w różnym stopniu: wśród osobników potomnych mogą być takie, które cech tych prawie zupełnie nie odziedziczyły, ale bywają i takie, u których są one jeszcze lepiej rozwinięte, niż u rodziców. Oczywista, że w tem pokoleniu z walki o byt wyjdą zwycięsko tylko te ostatnie osobniki, uzbrojone lepiej od rodziców, inne zaś po większej części nie dożyją dojrzałości płciowej i umrą bezpotomnie. W trzeciem pokoleniu znów z walki o byt wyjdą zwycięsko osobniki uzbrojone jeszcze lepiej od rodziców. To samo powtórzy się w czwartem i w następnych pokoleniach, — owe organy szczególne, uspasabiające do zwycięstwa w walce o byt, będą potęgowały się z każdem pokoleniem, powodując zmianę i innych części organizmu, gdyż wszystkie narządy istot żyjących pozostają z sobą w związku i są w większym lub mniejszym stopniu zależne jedne od drugich. Proces ten z czasem doprowadzi do powstania nowych gatunków, a w bezmiernej ilości lat, w których istniało życie na ziemi, mógł z jednego gatunku wytworzyć istoty, różniące się nawet zasadniczemi cechami i zaliczane obecnie do różnych rodzin, rzędów, a nawet typów. Ponieważ nowe gatunki powstają głównie wskutek przybywania w organizmie części nowych, czyniących organizacyę coraz bardziej skomplikowaną, a zatem z niższych form roślinnych i zwierzęcych powstają zwykle wyższe. Dany gatunek, oczywiście, może być protoplastą kilku, lub większej ilości nowych gatunków. Gatunków przejściowych zwykle nie znajdujemy w świecie istot żyjących, gdyż formy pośrednie, jako najmniej uzdolnione do walki o byt, najczęściej giną bezpotomnie. Streszczona tu teorya doboru naturalnego została przyjętą przez większość współczesnych biologów, gdyż wyjaśnia nam większą część faktów, dotyczących budowy i rozwoju organizmów.

Najniższe obecnie znane organizmy (pierwotniaki, najprostsze wodorosty i grzyby) mają budowę, właściwą tak zwanej komórce: ciało organizmu stanowi tak zwana zaródź, — materya śluzowata, pod względem chemicznym skomplikowana mieszanina, w której ciała białkowate zdają się stanowić część najważniejszą; w śluzie tym mieści się jądro, — część oddzielona od zarodzi zwykle wyraźnym konturem i różniąca się od niej pod względem chemicznym. (Wyjątek stanowią bakterye, w których dotychczas nie zdołano jądra wykazać). Ani zaródź, ani zwłaszcza jądro, nie są ciałami jednolitemi: wykazują one dość skomplikowaną budowę, której dokładne poznanie stanowi cel skrzętnych badań licznych współczesnych mikrologów. Organizmy jednokomórkowe mnożą się prawie wyłącznie przez dzielenie: najprzód dzieli się jądro, po jądrze dopiero dzieli się i zaródź na tyle części, na ile podzieliło się jądro. — Ciało każdego organizmu wyższego od jednokomórkowych składa się wyłącznie z komórek. Komórki te mają rozmaitą budowę, stosownie do czynności, którą spełniają (n. p. zwierząt znamy komórki nerwowe, mięśniowe, gruczołowe i inne). Znaczna ilość jednakowych komórek, w jednakowy sposób połączonych, stanowi tkankę. Z różnych tkanek zbudowane są rozmaite części istoty żyjącej, t. j. jej narzędzia (organy), służące do wykonywania rozmaitych czynności, niezbędnych do życia organizmu.

Samorództwo, t. j. wytwarzanie się istot żyjących z minerałów lub gnijących organizmów, nie jest znane i najprawdopodobniej nie istnieje przy teraźniejszym stanie kuli ziemskiej. Każda istota żyjąca wielokomórkowa wytwarza się z jaja, które jest typową komórką. Komórka jajowa, aby mogła przetwarzać się w wyższy organizm, prawie zawsze musi uledz zapłodnieniu, t. j. zlaniu się w jedno z inną, zazwyczaj mniejszą i ruchliwą komórką, zwaną ciałkiem nasiennem. Przy zapładnianiu jądra dwóch komórek zlewają się z sobą w sposób zawiły i dający wiele do myślenia. Zapłodniona komórka jajowa dzieli się na dwie części w ten sam sposób, w jaki mnożą się organizmy jednokomórkowe, tylko powstałe z podziału części nie rozchodzą się, lecz pozostają w połączeniu, tworząc zarodek dwukomórkowy. Każda z dwu komórek zarodka także dzieli się na dwie, i w ten sposób powstaje zarodek czterokomórkowy; w ten sam sposób z czterokomórkowego tworzy się ośmiokomórkowy zarodek i t. d. Dopiero w wielokomórkowym zarodku tworzą się wklęśnięcia i fałdy, prowadzące do odpowiedniego grupowania komórek, w ten sposób, aby z właściwych grup powstawały różne narządy, z których ma składać się w organizm dojrzały. — Jakkolwiek rozwój wielu zwierząt z powodu trudności, które nastręcza zbieranie zarodków do badań, dotychczas wcale nie jest znany, utrwaliło się to jednak na zasadzie istniejącego już materyału naukowego spostrzeżenie wielkiej doniosłości naukowej: wszystkie formy zwierzęce, bez względu na stopień organizacyi, przechodzą w rozwoju swym przez niektóre wspólne stadya, na których zarodki nawet najbardziej różniących się zwierząt są do siebie w ogólnych cechach podobne, niższe formy zwierzęce pozostają na takich stadyach, z jakich wytwarzają się formy wyższe; widzieliśmy już, że wszystkie organizmy wielokomórkowe w najwcześniejszej epoce swego życia są tylko pojedyńczemi komórkami, tak jak pierwotniaki całe życie; wielokomórkowy zarodek każdego zwierzęcia wchodzi następnie w stadyum gastruli, t. j. staje się woreczkiem, którego ścianki składają się z dwóch warstw komórek: zewnętrznej, zwanej ektodermą, i wewnętrznej, zwanej entodermą; wszystkie zwierzęta, zaliczane do typu jamochłonnych, w gruncie rzeczy pozostają całe życie na stadyum takiej gastuli, inne zaś rozwijają się dalej, wprawdzie w sposób dość rozmaity, ale u wszystkich bez wyjątku przewód pokarmowy tworzy się z entodermy, system nerwowy i zewnętrzna warstwa skóry — z ektodermy, a system mięśniowy z mozedermy, trzeciej, środkowej warstwy zarodka, pochodzącej od entodermy i ektodermy i mieszczącej się pomiędzy niemi.

Fakta te wyjaśnia nam Darwinizm (w najszerszem znaczeniu). Zwierzęta o wyższej organizacyi rozwijają się stopniowo z pojedyńczej komórki, nie zaś nagle w skutek dziedziczności; istoty żyjące odziedziczają cechy organizacyi nie tylko po bezpośrednich, ale i po najodleglejszych przodkach; różne stadya rozwoju danej formy zwierzęcej, począwszy od komórki jajowej, są poprostu mniej lub więcej dokładnem powtórzeniem organizacyi gatunków, które ową formę poprzedziły, — ontogenia (rozwój osobnika) jest w streszczeniu powtórzeniem filogenii (rozwoju gatunku). Bez tych faktów i uogólnień nie mielibyśmy zasady mniemać, że znane obecnie istoty żyjące są z sobą spokrewnione. Badanie rozwoju zwierząt (embriologia) jest w stanie udoskonalić nasz system i zbliżyć go do naturalnego; ale czy będziemy kiedy w stanie wyjaśnić pochodzenie owych pra-organizmów, od których pochodzą teraźniejsze istoty żyjące?

(Dokończenie nastąpi).

Maksym Gorkij.

Makar Czudra.

BAJKA.

(Dokończenie).

Patrzę, Radda trzyma w ręku pistolet i w głowę Zobara celuje. Szatan dziewka! No, myślę sobie, teraz jednako są silni, co będzie dalej?

Radda pistolet za pas zatknęła i mówi doń:

— Słuchaj! Nie zabić cię przyszłam, lecz godzić się; rzuć nóż!

Ten rzucił i ponuro jej w oczy zagląda.

Dziwne to było, bracie! Stoi dwoje ludzi i jak bestye patrzą na siebie, a oboje tacy piękni, dzielni ludzie. Patrzy na nich miesiąc jasny i ja — nikt więcej.

— Wysłuchaj mnie Łojko: ja ciebie kocham! — mówi Radda.

On jeno ramionami wzruszył, jakby mu ręce i nogi związano.

— Widziałam mołojców wielu, ale tyś z nich najdzielniejszy i najpiękniejszy, tak z duszy, jak z twarzy. Gdybym tylko okiem mrugnęła, to każdy z nich wąsy dałby sobie zgolić! gdybym chciała, to wszyscy do nóg by mi padli. Ale cóż z tego? I tak niezbyt wielkie z nich junaki, a przy mnie do reszty by zbabieli. Mało pozostało na świecie cyganów-junaków, mało. Łojko. Nigdy ja nie miłowałam nikogo, a ciebie miłuję. Prócz tego wolność miłuję. A tę wolność, Łojko, kocham bardziej, niż ciebie. Bez ciebie żyć bym nie mogła, tak samo, jak ty bezemnie. Chcę więc byś był moim, duszą i ciałem, słyszysz?

Uśmiechnął się Łojko.

— Słyszę! Raduje się serce na twe słowa! A nuże, mów jeszcze!

Ot, czego się zachciało dyabelskiej dziewczynie. Niesłychane to były rzeczy: tylko niegdyś tak u Czarnogórców się działo, gadali starzy, u Cyganów zaś — nigdy! Bratanie się z dziewką. A nuże, sokole, a wymyślno jeszcze coś tak śmiesznego! Choćbyś rok sobie głowę łamał, to nie wymyślisz!

Żachnął się Łojko i wrzasnął na stepy całe, niby w pierś raniony. Zadrżała Radda, ale nie zdradziła się z tem.

— Bywaj, Łojko, do jutra! a jutro zrobisz, com kazała. Słyszysz?

— Słyszę! Zrobię! — jęknął Zobar i wyciągnął ręce do Raddy.

Nawet nie spojrzała nań, a on się zatoczył i jak drzewo od wiatru złamane, upadł na ziemię i szlochał i śmiał się.

złem tam miejsca dla dawnego życia wolnego. Tam tylko Radda mieszka — i koniec. Oto ona, krasawica Radda, uśmiecha się, jak królowa! Kocha ona wolność swoją nademnie, a ja ją kocham nad wolność, więc przychodzę Raddzie się do nóg pokłonić — jak kazała — żeby wszyscy widzieli, jak jej piękność podbiła junaka Łojkę Zobara, który dotąd igrał z dziewczętami, jak jastrząb z kurami. A potem będzie ona żoną moją i pieścić mnie będzie i całować, ale odechce mi się już pieśni wam śpiewać. i wolności swej żałować nie będę! Czy tak, Raddo?

Tu podniósł oczy i z żalem spojrzał na nią. Ona w milczeniu poważnie kiwnęła głową i ręką swoje nogi wskazała. A myśmy patrzyli i nic nie rozumieli. Nawet odejść chciało się dokądś, aby tylko



ZA MORZE.

— Jeszcze ci powiem tyle, Łojko; choćbyś się nie wiem jak wykręcał, ja cię zwyciężę, będziesz moim. Nie trać więc czasu po próżnicy — przed sobą masz pocałunki moje, pieszczoty moje... silnie całować się będę, Łojko! Od pocałunków moich zapomnisz o swem życiu junaczem .. a żywe twe pieśni, co tak radują mołojców-cyganów, już rozbrzmiewać nie będą po stepach, — ty spiewać będziesz pieśni miłosne, tkliwe dla mnie, dla twojej Raddy... Nie trać więc czasu po próżnicy — tak rzekłam, to znaczy, że jutro poddasz się mnie, jako starszemu druhowi-junakowi. Do nóg mi się pokłonisz przed całym taborem i ucałujesz prawą nękę moją — a wtedy żoną twoją będę.

Tak znękała chłopca przeklęta Radda. Ledwie ocuciłem go.

Ehe! Jakiemu dyabłu to potrzebne, by ludzie ból cierpieli? Komuż to miło słyszeć, jak jęczy serce ludzkie, od bolu rozdarte? Ech, co tam myśleć!

Powróciłem do taboru i powiedziałem o wszystkiem starcom. Dumali, dumali i postanowili czekać i zobaczyć, co się dalej stanie. A stało się tak. Kiedy wieczorem zebraliśmy się wszyscy koło ogniska, to przyszedł i Łojko. Był strapiony a i schudł okropnie przez noc, oczy mu się zapadły, opuścił je ku ziemi i nie unosząc ich, rzekł do nas:

— Tak się, bracia, rzecz ma: patrzałem ja tej nocy w serce swe i nie znala-nie widzieć, jak Łojko Zobar padnie do nóg dziewce — choćby tą dziewką była Radda sama. Wstyd było czegoś i tęskno i smutno.

— Nuże!—krzyknęła Radda Zobarowi.

— Ehe, nie spiesz się tak, poczekaj, uprzykrzy się jeszcze — zaśmiał się ten. Jakoy stal szczęknęła — tak się zaśmiał.

— Oto cała sprawa, druhy! Cóż więc pozostaje? A pozostaje spróbować, czy Radda na prawdę ma serce takie twarde, jak to mi pokazywała. Spróbuję więc — wybaczcie, bracia!

Ech, myśmy się nawet domyśleć nie zdążyli, co Zobar zrobić zamierza, a już Radda na ziemi leżała i w jej piersi krzywy nóż tkwił aż do rękojeści. Osłupieliśmy.

A Radda wyrwała nóż, rzuciła go na bok i zatknąwszy ranę splotem włosów swych czarnych, z uśmiechem rzekła głośno a wyraźnie:

— Żegnaj, Łojko! wiedziałam, że tak zrobisz!...

Tak i umarła.

Zrozumiałeś dziewczynę, sokole? Taka ona była, niech mnie piorun trzaśnie, ta dziewka szatańska!

— Ech: A więc padnę ci do nóg, królowo dumna! — wrzasnął Łojko na stepy całe, o ziemię się cisnął, przypadł wargami do nóg martwej Raddy — i stężał. My zdjęliśmy czapki i staliśmy, milcząc.

Cóż powiesz na to, sokole! Tak to! Nur rzekł był: „trzeba go związać!“ Ale ręce nie podniosłyby się do wiązania Łojki Zobara, niczyje ręce by się nie podniosły, i Nur wiedział o tem. Machnął ręką i usunął się na bok. A Daniło podniósł nóż, co Radda go była rzuciła i długo go oglądał, poruszając siwymi wąsami; na nożu tym nie zastygła jeszcze krew Raddy, a był to nóż krzywy i ostry. Potem podszedł do Zobara i wepchnął mu go w plecy naprzeciw serca. Raddy ojcem był przecie stary żołnierz Daniło!

— Tak dobrze! — odwróciwszy się do Daniły, rzekł wyraźnie Łojko i poszedł dopędzać Raddę.

A myśmy patrzyli. Leżała Radda, przycisnąwszy do piersi rękę ze splotem włosów, otwarte jej oczy utkwione były w niebo błękitne, a u nóg jej rozciągnął się junak, Łojko Zobar. Kędziory twarz mu zakryły.

Staliśmy zadumani. Trzęsły się wąsy staremu Danile, a brwi jego gęste się ściągnęły. Patrzał w niebo i milczał. A Nur, siwy jak gołąb, położył się twarzą do ziemi i tak zapłakał, że ramiona jego starcze jak w konwulsyach zadrgały.

Było tam czego płakać, sokole! Tak to!...

Chodzisz sobie, no więc chodź swoją drogą, nie skręcaj na bok. Idź prosto. Może i zginiesz po próżnicy. Ot, i koniec, sokole!

Umilkł Makar i, schowawszy do torebki fajkę, zapiął na piersi czekmen. Deszcz kropił, wiatr wzmógł się i morze pomrukiwało głucho a gniewnie.

Jeden za drugim zbliżały się do dogasającego ogniska konie i obejrzawszy nas dużemi, mądremi oczyma, nieruchomo stawały, otaczając nas szczelnym kręgiem.

— Hop, hop, hej! — krzyknął im pieszczotliwie Makar, poklepał dłonią po szyi ulubionego karego konia i rzekł, zwracając się do mnie:

— Czas spać!

Owinął się cały w czekmen, potężnie się rozciągnął i zamilkł. Mnie się nie chciało spać. Patrzałem na urocze stepy w kierunku morza, a w powietrzu przed memi oczyma unosiła się królewsko piękna i dumna postać Raddy. Przycisnęła rękę ze splotem włosów do rany na piersi, a po przez jej smagłe, cienkie palce, kropla po kropli sączyła się krew, padając na ziemię krwawemi gwiazdeczkami. Tuż za nią unosił się junak-mołojec, Łojko Zobar, twarz przesłoniły mu gęste kędziory czarne, a z pod kędziorów tych ściekały łzy częste, zimne, wielkie.

Deszcz się wzmagał, a morze intonowało ponury, uroczysty hymn na cześć dumnej pary pięknych cyganów — Łojki Zobara i Raddy, córki starego Daniły.

Tych zaś dwoje unosiło się w pomroku nocy miarowo a niemo, lecz piękny śpiewak Łojko nijak dumnej Raddy odpędzić nie mógł.

Tłóm. *Józ. Kw.*

J. Przyłuski.

Co to jest slöjd?

(Dokończenie).

Slöjd korzystny jest dla jednostek, a pośrednio dla ogółu, gdy te jednostki będąc już dorosłymi, i mając pracę umysłową lub biurową, zechcą szukać wypoczynku lub rozrywki. Zmęczony umysł potrzebuje ruchu, świeżego powietrza; używa więc gimnastyki lub idzie na przechadzkę; lecz rozrywki te nie zawsze są możliwe ze względu na pogodę i miejsce zamieszkania; nie zawsze zdołają oderwać umysł od poruszanych przed chwilą kwestyi — nie dadzą więc mu wypoczynku. Człowiek szuka tedy rozrywki w jakiejś piwniarni lub restauracyi — to pociąga nieraz znaczne wydatki — a prócz szkody materyalnej, człowiek taki traci wiele moralnie, bo się przyzwyczaja do lekceważenia czasu drogiego, do próżnowania, tego źródła wszystkich występków. A dajmy takiemu jakiś warsztacik, wymagający lekkiego ruchu i niewielkiej siły, dajmy takiemu człowiekowi piłeczkę, lub inne narzędzie, a napewno znajdzie on dostateczny umiarkowany ruch, oderwie umysł od poważnego myślenia, utrzyma energię, nie wejdzie w niepotrzebne towarzystwa, które go o szkodę materyalną i moralną przyprawią, rozerwie się, — słowem znajdzie prawdziwe zadowolenie.

Dalej slöjd usunie próżniactwo i jego następstwa. Z wielkości złych skutków próżniactwa poznaje się wielkość zalet slöjdu, który próżniactwo usuwa, ucząc zamiłowania do pracy.

Te tłumy włóczęgów i żebractwa zniknął z widowni, jeżeli im damy umiejętność pracowania.

W Danii i Szwecyi włóczęgów i żebractwa nie spotyka się zupełnie.

Tam ślepi, kulawi i kalecy pracują z pożytkiem dla siebie i ogółu, i ciężarem dla społeczeństwa nie są. Ale społeczeństwo dało im możność pracowania i nauczyło ich tej pracy. O młode pokolenia państwa te dbają najwięcej, rozumiejąc, że największa liczba złoczyńców powstaje z dzieci zaniedbanych, że korzystniejszem jest wychowanie i urabianie młodzieży, aniżeli naprawianie zepsutych i spaczonych już ludzi dorosłych.

Ponieważ praca jest nieodzowną dla indywidualnego i społecznego ogólnego dobra, więc koniecznem jest, abyśmy pracowali z zamiłowaniem, bo jeżeli pracy nie umiłujemy, to nigdy jej we właściwem duchu i w odpowiedni sposób nie wykonamy. Slöjd jest wybornym środkiem do osiągnięcia tego celu, tego zamiłowania do pracy, jeżeli go umiejętnie przy wychowaniu zastosujemy. Wtem leży ogromne pierwszeństwo slöjdu przed innymi przedmiotami, że uczniowie oddają mu się z zamiłowaniem bez przymusu ze strony nauczyciela. „Dziecko jest ojcem człowieka“, więc jeżeli chcemy społeczeństwo od pasożytów uwolnić, to musimy dzieci nietylko uczyć pracować, ale uczyć miłować tę pracę.

Oprócz tego ważnego w życiu narodów zamiłowania do pracy, slöjd jeszcze rozwija w uczniach: samodzielność, zamiłowanie do porządku i czystości, rozwija poczucie barw i kształtów, rozbudza uczucia estetyczne, kształci zręczność i zmysł dotyku, wyrabia uwagę i zainteresowanie, kształci oko i siły fizyczne.

Zrozumiały to doniosłe znaczenie wychowawcze slöjdu wszystkie już prawie państwa, a niektóre przyznały slöjdowi pierwszeństwo w liczbie ogólno-kształcących przedmiotów.

Pierwsza na tem polu odznaczyła się Finlandya, i dzisiejszy stopień oświaty i przemysłu zawdzięcza jedynie prawidłowemu systemowi wychowawczemu.

Anglia oddawna zamieniła wykłady teoretyczne na praktyczne. Pozakładano wszędzie szkoły rzemiosł, a slöjd we wszystkich zakładach wychowawczych i poprawczych gra wybitną rolę.

Szwecya prześcignęła inne państwa, uczyniła kraj swój stolicą slöjdu. Wyraźnym tego dowodem są liczne zjazdy ludzi różnych stanów i narodowości z całego świata na kursy slöjdu do seminaryum Nääskiego. Racyonalne wychowanie uczyniło Szwecyę gruntownie uczciwą i sumienną, i to, co u nas za wyjątek się uważa, tam jest powszechną zasadą i obowiązkiem każdego żyjącego.

Tak oto w krótkości przedstawia się slöjd, jako jeden ze sposobów pracy społecznej, przynoszącej korzyść pod względem materyalnym i moralnym, ogółowi i jednostkom. Te zalety powinny wystarczyć do tego, aby slöjd znalazł poparcie. Społeczeństwo nasze ma ogromną słabość do przyjmowania wszystkiego, co pochodzi z zagranicy, bez względu na wartość tego: nieraz bardzo szkodliwe rzeczy przychodziły do nas i znajdowały bardzo podatną dla siebie rolę. Dlaczego jednak slöjd, chociaż pochodzący z zagranicy, dotąd się u nas nie przyjął? Chociaż niejednokrotnie o tem już pisano. Chyba dlatego, że to jest rzecz poważniejsza, pożyteczniejsza, wymagająca pracy, poświęcenia, pewnych ofiar. Nam się takie rzeczy nie uśmiechają. Zanadto zajęciśmy swojem osobistem „ja“ — los zaś bliźnich naszych nie bardzo nas zajmuje. Lecz tak źle nie będzie. Są już jednostki, rozumiejący potrzeby naszego społeczeństwa, znający wady narodu naszego i potrafiący skutecznie lekarstwo na nie odnaleźć; a z tych jednostek wyrosną całe zastępy ludzi dobrej woli, co daj Boże jaknajprędzej.

Ludzie, którzy się śmieją...

Uwagi, szanowny czytelniku!

W Japonii ma powstać stowarzyszenie, mające na celu propagandę śmiechu. Stara Europa wzrusza ramionami na takie nowatorstwo — nieprawdaż? — a jednak jest w tem coś godnego uwagi. Obu rękami piszę się na to, co mówi o propagandzie śmiechu feljetonista z *Journal des Débats*:

„U nas obecnie nikt się nie śmieje. Nikt nie umie się śmiać, nikt nie chce się śmiać. Jest to błąd. Są śmiechy niezdrowe i śmiechy głupkowate. Lecz są także śmiechy inteligentne i śmiechy zdrowe. Nie wiem, czy to właśnie ostatnie rodzaje śmiechu mają zamiar uprawiać Japończycy; lecz to pewna, że my Francuzi, powinniśmy się stowarzyszać celem obrony śmiechu od ostatecznej zagłady. Irygujemy się na głupotę, nie spostrzegając, że irytacya ta czyni nas samych głupcami. Dyskutujemy poważnie z tłumem ludzi, którzy nie zasługują na to, aby byli słuchani. Zbijamy energicznie kupę niedorzeczności, których autorowie zapewne nie mogą wyjść ze zdumienia, że czyni się im taki zaszczyt. Iluż jest ludzi, dla których najsprawiedliwszym wymiarem sprawiedliwości były wybuch śmiechu. Ile zniknęłoby przeróżnych straszydeł, gdyby je traktowano śmiechem, zamiast się ich obawiać, lub przynajmniej udawać obawę

Nietylko straciliśmy swą tradycyjną zdolność do śmiechu, ale nawet pociąg do niego. Być może, zawiele mówiono o tem, że Francuz jest to lekkoduch pusty i dowcipny. Od pewnego czasu pracuje on nad utratą tych pieknych przywar, które są, właściwie mówiąc, przymiotami, i usiłuje stać się poważnym. Żeby nam nie zarzucono, że pewnych rzeczy nie traktujemy seryo, bierzemy wszystko tragicznie. To ma na dłuższy przeciąg czasu dużo niedogodności. To nadaje życiu narodowemu stan wytężenia i szorstkości, trudnej do wytrzymania.

Uśmiech zachował swe prawa. Jesteśmy zawsze ironiczni i należy mniemać, że jeszcze nieprędko stracimy tę właściwość. Lecz od uśmiechu do śmiechu przestrzeń jest nieskończona.

Śmiech jest dobroduszny. Uśmiech jest dość często wymuszony. Śmiech jest rozwiązaniem, uśmiech zaś tylko środkiem, wybiegiem. Uśmiech może być zły, kiedy śmiech — przynajmniej ten, którego nieobecność opłakujemy w tej chwili — jest prawie zawsze życzliwy. Śmiać się to znaczy rozbrajać. Uśmiechać się, to znaczy przygotowywać jakieś straszne pchnięcie. Zniknanie śmiechu jest współczesne okrucieństwu, które charakteryzuje nasze obyczaje publiczne i które je obniża. Mniemam, że napróżno próbowaliśmy się odzwyczaić od uśmiechu. Lecz powróćmy śmiechowi prawo obywatelstwa, piętno pobłażania i dobroduszności. Mniej uśmiechajmy się, więcej śmiejmy się. Nie poniesiemy przez to żadnej szkody, tembardziej nie poniesie go porządek świata.

Jest prawdopobne, że jeżeli społeczeństwo francuskie nie śmieje się już więcej, to dlatego, iż nie ma czystego sumienia. Jest podniecone, niespokojne, niezadowolone z siebie. Nie wie naprawdę, czego chce, a czego nie chce. Tylko myśli czyste tworzą spokojne sumienie I tylko sumienia spokojne wytwarzają charaktery wesołe. Obserwacya codzienna stwierdza to co do jednostek. Z narodami jest tak samo, jak z jednostkami. Wesołość francuska, teraz niepewna i zbłąkana, odzyszcze władze nad sobą, bez której niepodobna zoryentować się co do przyszłości i korzystać z teraźniejszości. Wszystko się trzyma, wszystko się łączy, i racye, które przeszkadzają nam śmiać się, są w gruncie rzeczy te same, które paraliżują naszą działalność, które ciskają nas w krąg ciemnych i męczących błąkań po omacku.

Dusza japońska jest znacznie prostsza od naszej. To też towarzystwo propagandy śmiechu będzie tam miało mniej do roboty, niż u nas".

Produkcya herbaty.

Prof. dr. Józef Siemiradzki podaje we *Wszechświecie* wiązankę zajmujących szczegółów o produkcyi i spożyciu herbaty:

„Do niedawna uchodziło za niezbity pewnik, że jedynym producentem herbaty są Chiny, a głównym konsumentem Rosya. Oczekiwano też powszechnie wielkiego zastoju w handlu herbacianym wskutek wojny chińskiej i znacznego podrożenia tego artykułu. Tymczasem jednak, pomimo wojny i zniszczenia plantacyjnych okolic chińskich, ani nie zabrakło herbaty na rynku, ani ceny jej się nie podniosły. Wytłómaczenie tego faktu daje nam ciekawa statystyka handlu herbatą („*Deutsche Rundschau für Geographie und Statistik*" 1901, str. 420), z której wynika, że produkcya herbaty w Chinach z każdym rokiem maleje, a natomiast wzrasta kolosalnie wywóz tego artykułu z Indyi, Cejlonu i Japonii, a nadto, że w szeregu konsumentów pierwsze miejsce zajmuje Anglia z cyfrą dwa razy wyższą od Rosyi, konsumcya zaś herbaty obliczona na głowę ludności jest w Rosyi dwa razy niższa niż w Holandyi i Ameryce północnej, a 6 7 razyniższa aniżeli w Anglii.

Obliczona na głowę mieszkańca konsumcya herbaty stale wzrasta, przyczem pierwsze miejsce zajmuje znowu Anglia: 5·07, funta rocznie w r. 1885, a 5·86 f. w r. 1899. Drugie miejsce zajmują Stany Zjednoczone: 1·18 f. w r. 1885, 1·38 w 1895. Trzecie — Holandya: 1·1 funta w r. 1885, 1·39 w 1899. Rosya idzie dopiero na czwartem miejscu z konsumcyą 0·59 funta na głowę w r. 1885 i 0.82 w r. 1899. W Niemczech i Francyi konsumcya herbaty jest minimalna i nie przewyższa 0·09 funta na głowę rocznie.

Anglia przeto zarówno produkcyą w Indyach i na Ceylonie (dziś już przewyższającą znacznie produkcyę chińską), jak konsumcyą herbaty stoi na pierwszem miejscu, a dodać należy, że, wbrew również rozpowszechnionemu mniemaniu o „karawanowej herbacie" $^9/_{10}$ herbaty spożywanej w Rosyi przycho dzi drogą morską, przeważnie przez Londyn lub Hamburg, Anglicy i tutaj przodują wybornem urządzeniem statków przeznaczonych do transportowania herbaty, w porównaniu z okrętami innych narodowości, przewożącemi ją razem z innemi towarami na parowcach, wskutek czego ulega łatwo większemu jeszcze uszkodzeniu, aniżeli herbata „karawanowa" podczas kilkomiesięcznej podróży lądowej w niedostatecznem opakowaniu.

Herbaciane okręty angielskie — to niezwykle szybkie żaglowce, tak zw. „clippery", przy pomyślnym wietrze passatowym, odbywające podróż z Kantonu do Anglii w 60 dniach, więc znacznie szybciej, aniżeli parowce frachtowe. Herbata przechowywa się w hermetycznych komorach, wyłożonych blachą, unika przeto pokruszenia przez wstrząśnienia śrubowców, oraz przesiąknięcia zapachem oliwy maszynowej i skór, jakiemu ulega podczas transportu parowcami. Izba handlowa londyńska, pragnąc zachęcić do szybkiego transportu, płaci wysokie premie kilku pierwszym clipperom przybywającym po zbiorze do portu londyńskiego. W rezultacie, wbrew utartej opinii, najlepsze gatunki herbaty, nieuszkodzonej przez transport zarówno lądowy, jak morski (parowcami) otrzymujemy z Anglii, a w swojej statystyce handlowej Rosyi p. Bloch przed kilkunastu jeszcze laty wykazał, że nawet na jarmarku w Niżnym Nowogrodzie, zaledwie drobna cząstka herbaty przybywa lądem, znaczna większość transportów natomiast nadchodzi drogą przez Odessę i Libawę

Wobec nadzwyczaj szybkiego wzrostu produkcyi herbaty w koloniach angielskich i zupełnego niemal monopolu angielskiego w przewożeniu tego towaru do Europy, można się spodziewać, że w niedługim czasie herbata „chińska" będzie w Europie osobliwością, chociaż długo jeszcze, gwoli podobieństwu publiczności, kupcy „herbatę chińsko-rosyjską karawanową" klientom swoim narzucać będą; taka to prawda, że *mundus vult decipi*".

Nowe książki.

Maksymilian Winawer. **„Najdawniejsze prawo zwyczajowe polskie"**.

Dzieło to, wydane z zapomogi Kasy im. Mianowskiego, jest monografią ważnego pomnika prawniczego, napisanego w języku niemieckim i znajdującego się w bibliotece w Elblągu. Autor zebrał tu wiadomości o pochodzeniu, historyi i czasie napisania tego pomnika, zawierającego w sobie najdawniejsze prawo zwyczajowe polskie, a następnie wyłożył systematycznie treść tego zabytku, wyciągając zeń wnioski o ustroju państwowym i społecznym Polski w wieku XIII. W końcu dodano tekst samego pomnika w oryginale niemieckim, i poprawki do tłómaczenia Helcla.

* *
*

Dr. Gustaw Piotrowski. **„Zola i naturalizm"**.

Praca ta stanowi t. 2, seryi II. wydawnictwa p. t.: „Wiedza i życie". Autor mówi najprzd o początkach kierunku naturalistycznego we Francyi w wieku XIX, zaznaczając działalność Balzaca i Flauberta, poczem obszernie traktuje powieści Zoli. Szczegółowy rozbiór naturalizmu tego autora francuskiego wypełnia główną część książki, poczem następuje charakterystyka Zoli w obu okresach jego twórczości: romantycznym i naturalistycznym. W końcowym rozdziale pt.: „Rozwój i upadek naturalizmu", autor mówi także i o polskich autorach i autorkach, hołdujących temu kierunkowi.

* *
*

Władysław Umiński. **„Jak powstała nasza ziemia?"**

Nie bogatą naszą literaturę popularno-naukową wzbogaca niniejsza książka, ozdobiona 12 rysunkami. Autor rozpoczyna od ogólnego poglądu na wszechświat, przechodzi następnie do mgławic, tworzenia się słońc, planet i ich księżyców, zatrzymuje się na naszem słońcu i jego systemie planetarnym; mówi potem o równowadze we wszechświecie i niebezpieczeństwach jej grożących, wreszcie opowiada o przypuszczalnym końcu świata.

* *
*

Kazimierz Laskowski. **„Wieś. W ojców ślady", powieść.**

Powieści K. Laskowskiego, osnute na tle życia obywateli ziemskich, mają charakter idyliczny, i to samo już zapewnia im powodzenie w szerokich kołach czytelników. Sytuacye dramatyczne rozwiązują się tam pomyślnie dla bohaterów, szlachetne usiłowania mimo przeszkód nie marnieją; w świecie, który autor maluje, czarne charaktery wcale się nie rodzą. W powieści niniejszej, jak i w poprzednich, pokrewnych jej tematem, panuje atmosfera swojska, łagodna, przeniknięta ciepłemi promieniami optymizmu, któremu chętnie i czytelnik się poddaje.

* *
*

Anastazy Trapszo. **„Podręcznik sztuki dramatycznej dla artystów i amatorów".**

Po uwagach wstępnych o sztuce w ogólności, oraz o dwojakiej szkole sceniczno-deklamacyjnej: klasycznej i realnej, autor mówi obszernie i szczegółowo o mimice, daje ogólne zasady dobrego wymawiania i deklamacyi, poczem wykłada sposób przedstawiania różnych uczuć, namiętności i innych stanów duchowych, objaśniając to w końcu przykładami, z różnych dzieł dramatycznych wyjętemi.

Wydawca: **K. Kołakowski.** Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Strzelecki.**
Z drukarni „Dziennika Polskiego" (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.